

TOMASZ NOWAK OP

**DROGA  
WODZA**

jak orzeł w kurniku

WYDAWNICTWO WAM

© Wydawnictwo WAM, 2016

© Tomasz Nowak OP, Anna Wasiewicz, 2016

Opieka redakcyjna: Dorota Trzcinka

Opracowanie: Anna Wasiewicz

Redakcja: Ilona Klimek

Korekta: Maciej Szklarczyk

Ilustracje na okładce: Marcin Wierzchowski / HmmmStudio

Opracowanie typograficzne i skład: Agata Hanuszkiewicz

ISBN 978-83-277-1147-2

#### WYDAWNICTWO WAM

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003

e-mail: [wam@wydawnictwowam.pl](mailto:wam@wydawnictwowam.pl)

[www.wydawnictwowam.pl](http://www.wydawnictwowam.pl)

#### DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: [handel@wydawnictwowam.pl](mailto:handel@wydawnictwowam.pl)

#### KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

tel. 12 62 93 260

[e.wydawnictwowam.pl](http://e.wydawnictwowam.pl)

druk: OPOLGRAF • Opole

**ZAMIAST**

**WSTĘPU**

rzecz o

rozszerzaniu

świadomości



W powieści *Wiele demonów* Jerzy Pilch powołał do życia kapitalną postać – Madame Wzmożek – fascynujący (arche)typ kobiecości trudnej i „utrudzonej”. Opisywać jej nie będę, sam Pilch zrobił to znakomicie. Pośród wielu cech Madame charakteryzuje „szczelność świadomości”. Kapitalne określenie. Szczelność świadomości, a zatem też samoświadomości. To zdaje się kluczowa kwestia w poszukiwaniach siebie samego: swojej istoty, jaźni, tożsamości i wreszcie swojej drogi, swojego miejsca w świecie. Tu leży pies pogrzebany! Od rozszczelniania świadomości trzeba zacząć. Szkopuł w tym, że niezbędny jest choć cień świadomości, by zauważyć jej szczelność. I mnie na tym właśnie zależy, tak widzę swoje zadanie w tym świecie, by tę szczelność rozszczelnić, wyłom jakiś zrobić i wpuścić tam trochę światła.

Nie wiem, skąd mi się to bierze, ale od kiedy sięgam pamięcią, najbardziej ciekawi mnie to, co dzieje się w człowieku. To od zawsze była moja pasja: poszukiwanie drugiego, pytanie, dlaczego jest, jaki jest. Człowiek jako jednostka, ale też przedstawiciel gatunku *homo sapiens*: z jakich składa się przestrzeni, czy one się ze sobą łączą, dlaczego, w jaki sposób? Nie interesuje mnie obraz statyczny – żadna stagnacja, tylko „żywy człowiek”, w którym nieustannie coś się dzieje, który rozwija się, tworzy, reaguje, jest impulsywny i kreatywny. To wszystko

mnie fascynuje, może szczególnie w przełożeniu na rozmaite dziedziny sztuki. Pewnie dlatego tak bliski jest mi jazz – spójny, choć spontaniczny i pełen improwizacji.

Wierzę, że człowiek jest dobry, że stale dobra poszukuje, że nasza kreatywność jest ukierunkowana nie na zło, a na dobro właśnie (choć bywa, że jedno z drugim nam się myli). Niedawno ktoś mi powiedział, że mam w sobie pierwotną ufność wobec człowieka. Jeśli tak faktycznie jest, to zasługa domu rodzinnego – wygląda na to, że po mamie odziedziczyłem tę ufność w kontaktach z ludźmi. To jest odruch, którego nigdy nie żałuję, nawet kiedy wejdę na minę i mnie „rozerwie”, bo ktoś nadużyje mojego zaufania. Przeżywam to, owszem, ale nie żałuję. Może jestem jak ten tytułowy idiota Dostojewskiego, a może po prostu ciekaw jestem człowieka, bo się go nie boję?

Ludzie, którzy do mnie przychodzą, poszukują najpierw swojej wartości, bo najczęściej to osoby z niskim jej poczuciem. Muszą na kimś się oprzeć, ale potrzebują takiego oparcia, które jest też lustrem – mogą się w nim bezpiecznie przejrzeć i zobaczyć, kim są. To jest teraz moje główne powołanie. Jezus sły-szy nad Jordanem, a później na Górze Przemienienia: „To jest mój Syn Umiłowany, w Którym mam upodobanie” (Mt 17, 5). To pierwsze i najważniejsze słowa, które każdy z nas musi

usłyszeć i zrozumieć: to jest mój syn umiłowany. Od nich zaczynam rozszczelnianie świadomości tych wszystkich, którzy u mnie szukają pomocy i rady – uświadamiam im, że Bóg nad każdym z nich te słowa wypowiada. I nieraz tak się dzieje, że jestem narzędziem Pana Boga, że ktoś przeze mnie może doświadczyć, poczuć, że jest kochany, że jest umiłowanym synem czy córką Ojca.

Ideałem, do którego się odnoszę, jest *Hymn o miłości* świętego Pawła (1 Kor 13). Cały czas się uczę, że miłość cierpliwa jest i łaskawa, nie zazdrości, nie szuka poklasku, nie unosi się pychą ani gniewem, nie jest bezwstydną ani niesprawiedliwą, dąży do prawdy, ufa, wierzy, wszystko znosi i trwa z nadzieją. Takiej miłości nieustannie szukam i staram się ją dawać „wszystkim, wszędzie i na wszystkie sposoby”. W gruncie rzeczy daję innym „tylko” to, co sam dostałem i odnalazłem.

Nie mam wątpliwości, że ja siebie poznaję (bo to dożgonny proces) dzięki Bogu i w Bogu – należąc do Kościoła, a od ponad dwudziestu lat będąc w zakonie. To jest moja płaszczyzna poznania, której nie miałem w domu, nie dostałem w szkole ani w żadnych grupach czy subkulturach, z którymi się utożsamiałem. To w Kościele spotkałem i Pana Boga, i mistrzów duchowych, od których uczyłem się mądrości. Czy to jest

możliwe gdzie indziej? Może tak, ale ja wybrałem tę drogę. Nie uważam też za mądre chodzenia wieloma drogami jednocześnie, bo – po prostu – idzie się wolniej.

Andrzej Stasiuk na pytanie o to, czy się modli, odpowiada: „Prawie codziennie. Jak jest piękna pogoda, wychodzę z domu i mówię do Niego. Albo myślę. Czasami mam pewność, że On jest. Całkiem szczerze, bez jakiegoś samooszustwa. Wtedy czuję, że wymaga ode mnie pełnej egzystencji. Czujności na świat. Uważności na ten Jego komunikat, żeby być w świecie w odpowiedzialny, intensywny sposób, bo drugi raz nie da mi szansy. Dostałeś dar, zrób z nim coś, nie zmarnuj. Spróbuj dojść swojej prawdy”<sup>1</sup>.

Trzeba się starać żyć na własną miarę, przeżyć swoje życie tak, by to, co zostało we mnie złożone, mogło wybrzmieć. Tego uczę się choćby od mojego śp. współbrata Andrzeja Hołowatego, który mawiał, że „wszystko, co dojrzałe, pragnie umrzeć”. I rodzi się pytanie: czy kiedy ktoś umiera, to znaczy, że już dojrzał?

Orzeł w kurniku to ja sprzed lat. A może także ty? Może nim byłeś? Może jeszcze czasami bywasz? A może, co gorsza, nadal tkwisz w miejscu, które nie jest twoim naturalnym świa-

tem? W takim razie do ciebie to piszę. Może czas przejrzeć i zobaczyć, że jesteś bardziej lotny, niż myślisz, a to, co cię gniecie i trzyma przy ziemi, jest fałszywym przekonaniem, które kiedyś nieświadomie kupiłeś. Wstań z grzędy, wyjdź z kurnika, rozprostuj skrzydła!

#### **PRZYPISY:**

1. *Życie to jednak strata jest. Andrzej Stasiuk w rozmowach z Dorotą Wodecką,* Warszawa 2015, s. 72.



**JAK ORZEŁ**

**W KURNIKU**

czyli  
droga Wodza



## KOZA W WARSZIE I ANIOŁ STRÓŻ

Nawet bardzo negatywne doświadczenia nie są w stanie sięgnąć głębi mojej ufności wobec człowieka. Sprawiają, że jestem w tej ufności mądrzejszy, ale nie bardziej nieufny, bo ta ufność jest fundamentalna – czasami myślę, że bez niej w ogóle by mnie nie było. Ja ją nazywam naturalną bliskością. Wygląda na to, że „bliskość” jest we mnie wpisana. Wydaje się to potwierdzać przedziwna historia o tym, jak poznałem imię mojego Anioła Stróża. A było to tak: wsiadłem do pociągu, na który nie miałem prawa zdążyć. To było w Krakowie, czekałem w parku przy dworcu na penitenta, który zazwyczaj spowiadał się godzinę. Kiedy zaczęliśmy, do odjazdu pociągu pozostało siedem minut, więc bez szans. Nieoczekiwanie spowiedź trwała trzy minuty i wskoczyłem do wagonu w ostatnim momencie. Zasapany idę korytarzem i nagle słyszę swoje imię. Odwracam się, a to dominikanin, Aleksander Koza, który, jak się okazało, jechał na zjazd egzorcystów. Nie miałem biletu, więc siadłem z nim – gdybym go miał, pewnie poszedłbym na swoje miejsce i ta rozmowa by się nie odbyła, a tak przegadaliśmy, najpierw w przedziale, a potem w warsie, całą drogę do Warszawy. Opowiedział mi anegdotę, jak go penitentka, młoda dziewczyna, pytała, czy zna imię swojego Anioła Stróża: „A po co mi to? – zdziwił się – nie znam”. Na co ona: „Aaa, to warto spytać”. On,

sceptyczny, mówi: „Daj spokój”, i temat się urwał. Tyle że później na modlitwie – a miał zwyczaj rano dużo się modlić – ten wątek stale do niego powracał: zapytaj, zapytaj... nie będę pytał... I tak to trwało, aż któregoś razu na tyle go przypiliło, że uległ i zapytał. I wtedy, w jednym momencie, całe życie mu się wyjaśniło, wszystkie elementy w tym jednym imieniu się spotkały. Muszę przyznać, że słuchałem go w tym warsie jak niewierny Tomasz. Potraktowałem tę opowieść dokładnie tak, jak on potraktował namowy tamtej dziewczyny. Dwa tygodnie później głoszę rekolekcje u sióstr dominikanek w Świętej Annie i nagle pojawiła się myśl: spytaj, spytaj. Protestuję: „Po co? To nie jest mi do niczego potrzebne, nie będę robił jakiegoś anielskiego czary-mary”. Tym bardziej że mi Koza powiedział, jak to wygląda: pytasz, a potem otwierasz Biblię w dowolnym miejscu, albo wkładasz w nią obrazek, i tam właśnie będzie to imię. Myślę: „To są jakieś sztuczki kuglarskie, nie będę bawił się w takie rzeczy, bo jestem poważnym człowiekiem. Z drugiej strony Aleksander Koza szeroko poważany jest, autorytet ma, więc skoro on... Ale zaraz, to przecież on zawsze uczył, żeby nie otwierać Biblii na chybił trafił, bo to szarlataństwo. No, ale skoro sam Koza tak zrobił, to może i ja nie powinienem kręcić nosem?”. Tak to sobie tłumaczyłem, niby zebrałem się na odwagę, ale ciągle jeszcze się wzbraniałem. Kolejnego dnia tuż przed konferencją dla sióstr wpadam na pomysł, by za-

cytować fragment z Mistra Eckharta, szkopał w tym, że nie pamiętam, w którym jest miejscu. Mam nawet *Traktaty Mistra* na biurku, ale przecież w trzy minuty nie znajdę tego zdania. No to mówię Panu Bogu: „Albo mi to dasz i wtedy ja opowiem o tym siostrom, albo nie i rezygnujemy z tematu”. Otwieram książkę, a tam dokładnie ten fragment, o który mi chodziło: „Niech każdy się trzyma swojej własnej dobrej drogi, niech w nią włącza wszystkie inne i stara się na niej zrealizować wszelkie dobro i wszystkie inne drogi. Zmienianie drogi zagraża stałości zarówno serca, jak i jej samej. Co może ci dać jedna, to samo możesz osiągnąć na innej, byle tylko była dobra i chwalebna oraz prowadziła wyłącznie do Boga”<sup>1</sup>. (To dla mnie bardzo ważny tekst. Dzięki niemu jestem u dominikanów, a nie u kamedułów, z którymi „flirtowałem” przez dwa i pół roku i miałem wielkie pragnienie, by zostać mnichem w Bieniszewie lub na Srebrnej Górze). I w tym momencie wraca do mnie historia z pociągu i słowa: „A teraz spytaj o to imię anioła”. „Nooo – myślę. – To się nie zdarza, żeby książkę otworzyć dokładnie na takim fragmencie, którego się potrzebuje”. Więc... otworzyłem Biblię. Okazało się, że mój Anioł ma na imię Emmanuel, czyli „Bóg z nami”, Bóg jest bliski. Nie umiem tego wytłumaczyć, ale tak jak Aleksandrowi, tak i mnie całe życie wyjaśniło się w tym jednym momencie. Ta bliskość jest we mnie bardziej pierwotna niż wszystko inne. I mam potrzebę

dzielenia się nią. Przypomina mi się br. Albert Chmielowski, który mawiał, że miłość jest jak chleb, który leży na stole – każdy może podejść, ukroić kawałek i zjeść. Nie wiem, czy to jest we mnie na aż tak głębokim poziomie, ale mam poczucie ewangelicznej obfitości w tej przestrzeni, poczucie, że dzięki bliskości Boga dla każdego wystarczy miłości.

## **WSZYSTKO WRODZONE – ŻADNA ZASŁUGA**

Dzieciństwo miałem piękne, tak je wspominam. Znaczącą rolę odegrała w nim moja mama i jej dobroć. Joachim Badeni nie-raz żartował ze mnie: „arcy-Nowak, chodząca dobroć – wszystko wrodzone, żadna zasługa”. I trafił w sedno. Tato mój był często nieobecny, nie tyle fizycznie, co mentalnie. Mama wypełniała większość domowej przestrzeni emocjonalnej. Dziś lepiej to rozumiem: dość późno i przypadkiem dowiedziałem się, że tato siedział rok w więzieniu. Ten temat w ogóle w domu nie istniał. Chodziło o jakąś aferę mięsną w latach siedemdziesiątych, on tam był pionkiem, ale został skutecznie wrobiony i musiał swoje odsiedzieć. To mi jakoś tłumaczy jego wycofanie, może miał poczucie, że trudno być autorytetem dla trzech synów, kiedy ma się coś na sumieniu. A poza tym to góral świętokrzyski, co znaczy, że nigdy nie był specjalnie wylewny. W to

miejsce właśnie „weszła” ogromna dobroć mojej mamy, ufność i bliskość, którymi obdarzała każdego. Jednak niedawno, na rekolekcjach – akurat wypadały wtedy urodziny mojego ojca – zacząłem sobie zadawać pytanie: co ja jemu zawdzięczam? I okazało się, że jest tego mnóstwo. Choćby to, że jest człowiekiem szlachetnym, dobrym, cierpliwym, szanującym ludzi, ich różne historie i poglądy, krótko i najprościej mówiąc: przyzwolonym. Z pewnością fakt, że był wycofany i emocjonalnie nieobecny, miał wpływ na moją drogę wybrukowaną rozmaitymi subkulturami, karkołomnym poszukiwaniem tożsamości. Moi rodzice skończyli siedem klas podstawówki, taka wtedy była edukacja, a potem wybrali zawód: mama jest krawcową, a tato rzeźnikiem i masarzem. Siłą rzeczy nie mogli nam zbyt długo pomagać w nauce i w rozwoju – zresztą uczciwie nam o tym mówili: „Synu, nie umiemy ci już dalej pomóc”. To było uczciwe, niemniej powodowało konieczność poszukiwań na własną rękę: rodzice mi nie pomogą, nie wesprą mnie tam, gdzie sami nigdy nie byli. W takim razie trzeba szukać samemu, a szukać samemu to często szukać po omacku. Mama nie miała lekko. Jedyna kobieta w domu i nas trzech synów, ale to właśnie jej dobroć i dobroćliwość chroniła nas przed popełnieniem wielu głupstw. I choćby narkotyki czy inne rzeczy, które się nie pojawiły, choć były na wyciągnięcie ręki, nie pojawiły się tylko dlatego, że ja po prostu nie mogłem tego mamie zrobić.

## ŚWIADEK Z DŁUGIMI WŁOSAMI

Poznanie siebie to w ogóle nie był temat w moim środowisku, nikt w moim otoczeniu tym się nie zajmował. Natomiast ja podjąłem go z prostego powodu: nie pasowałem do niczego, co spotykałem w moim małym świecie. A skoro do niczego znanego mi nie pasowałem, to żywotnym stało się dla mnie pytanie: kim jestem? Kim ja jestem, skoro do niczego nie pasuję? Pojawiła się też obawa, a nawet lęk, że jeśli się tego nie dowiem, nie odkryję swojej tożsamości, to w życiu już zawsze będę od wszystkiego i wszystkich odstawał. I taki wyobcowany przeżyję życie i odejdę z tego świata, ba – martwiłem się nawet perspektywą wieczności, że do nieba też nie będę pasował. Całkiem niedawno z ust o. Augustyna Pelanowskiego, paulina i mojego ziomka z Ostrowca, usłyszałem dość zaskakujące, ale bardzo pocieszające mnie zdanie: „Jeżeli nie pasujesz do niczego, a żyjesz na tym świecie, to prawdopodobnie będziesz znakomicie pasował do nieba. Niebo jest tak totalnie inne od tego, co jest na ziemi, że jeżeli nie pasujesz tu, a istniejesz, to prawdopodobnie jesteś stamtąd”. Przyznam, że takie myślenie przynosi ulgę.

Poczucie niepasowania do niczego powoduje, że człowiek idzie w kontestację, a to z kolei skutkuje podkręcaniem tej „inności”.

Wybiera się wówczas takie światy, które manifestują nieprzystawalność do ogółu – stąd moja droga punkowa, później hip-pisowska, ekologiczna i inne. Kontestacja systemu wzmacnia niedopasowanie. To jest potrzebne, by się nie „rozmyć”, bo jeśli nie pasuję do niczego, to tym bardziej na czymś muszę się oprzeć. A oprę się wtedy, kiedy będę krzyczał i pokazywał, że nie jestem sam w tej swojej inności. W tym buncie, manifestowanym często strojem, jestem zauważany i wzbudzam jakieś reakcje, choćby strach. I to zaczyna mnie kształtować. Paradoks polega na tym, że kiedy wreszcie przestanę być taki niepasujący, to znów się gubię, bo przecież nauczyłem się już nie pasować.

Pamiętam, jak pod wpływem mojej bratowej ściąłem włosy. Nie miałem wyjścia, bo obiecałem starszemu bratu, że będę świadkiem na jego ślubie, a dla mnie słowo jest droższe od pieniędzy. Bratowa nie wyobrażała sobie świadka z długimi włosami. Brat nie mógł jej przekonać, że taka fryzura to nic złego. To były inne czasy. Nie muszę dodawać, że to właśnie włosy cenilem sobie wówczas bardziej niż wszystko inne na świecie. Najwyraźniej brata jednak bardziej, bo w końcu poszedłem do fryzjera. Siadam, pan cyrulik pyta, co ma być, a ja wykrztuszam: „Niech pan tnie, a ja zamykam oczy – nie chcę patrzeć na zbrodnię, która się na mnie dokona. Niech pan robi, co uważa,

byle się kobiecie podobało. Otworzę oczy, gdy pan skończy”. I tak było: skończył, otworzyłem oczy i... nie poznałem siebie w lustrze. To był najgorszy widok świata!!! Kompletnie zmiażdżony wyszedłem na zewnątrz, i kolejna konsternacja: ktoś mnie potrącił na chodniku, a za chwilę ktoś inny, i tak kilka osób. Bardzo mnie to zaskoczyło. Uświadomiłem sobie, że od kilku lat nikt mnie nie potrącił na ulicy – musiałem wyglądać tak wyzywająco, tak groźnie, że mnie ludzie omijali szerokim łukiem. Ostrzyżonego przestali się bać i zaczęli się o mnie obijać, co nie za bardzo mi odpowiadało.

Kilka lat później wróciło do mnie podobne pytanie: czy przypadkiem nie wybrałem zakonu, żeby być dalej odmieńcem? Przypomniałem sobie reakcje ludzi, kiedy wysiadłem w Warszawie, na Marszałkowskiej, z autobusu – w habicie, rzecz jasna – i zrozumiałem, że tak „kontrowersyjnie” ubrany nie byłem nigdy wcześniej, nawet kiedy nosiłem irokeza i skórę nabijaną ćwiekami. Ten biały habit to jest dopiero kontestacja! Miałem nawet w nowicjacie takie hasło, nakleiłem je sobie na drzwiach: „Porzuciłem świat, by chwalić Boga w subkulturze”. Pomyślałem wówczas, że te wszystkie historie punkowe czy hippisowskie to jakieś przedszkole było.

## BIBLIA I SKINHEADZI

Nawróciłem się już po wyjeździe z Ostrowca, w Kielcach. Zaczęło się w dzień wagarowicza. „Świętowaliśmy” z kolegą, plan był prosty: dochodziliśmy do rozstaju dróg, rzucaliśmy monetą, orzeł w prawo, reszka w lewo, i tak włączyliśmy się po mieście. W pewnym momencie doszliśmy do skrzyżowania i ja, nie rzucając monetą, nieoczekiwanie mówię: „Tu w lewo”. Potem jeszcze raz „w lewo” i tak trafiliśmy do parku, i siedliśmy na ławce. Miałem dziwne poczucie, że my do tej ławki szliśmy jak po sznurku. Siedzimy, patrzymy na łabędzie, machamy nogami. Nagle obracam się i widzę, że obok, na tej samej ławce siedzi dziewczyna, której wcześniej nie widziałem. „Jak ona się tam znalazła?” – myślę. Podpatrzyłem, że coś czyta, zapuszczam żurawia, okazuje się, że to Biblia. Byłem wówczas dość „świeżym” ministrantem – karierę kościelną zacząłem dość późno, pozazdrościwszy starszemu bratu, który chodził na pielgrzymki. Zobaczyłem tę Biblię, a uważałem, że skoro byłem raz na oazie, trzy razy na pielgrzymce i dwa lata ministrantem, to jestem ekspertem w temacie, więc okazja świetna, zaczynam „głuszenie” parkowe. Przynuram się do niej i zagajam: „Co czytasz?”. A ona na to: „Biblię”. Ja ciągnę: „I co, podoba ci się?”. To musiało być dla niej chyba dość zabawne, ale nie dała tego po sobie poznać i mówi: „Ja nie

czytam jej jak zwykłej książki”. I zaczęła opowiadać. Dwie i pół godziny gadała, mój kolega nie zadał nawet jednego pytania, a ja może z pięć. To było fascynujące! Wtedy takim emocjonującym tematem kieleckim były historie o skinheadach, ludzie się ich bali. A ona opowiada, jak wracała skądś nocą, łysi stoją silną grupą – a jak wiadomo, im było obojętne, czy dziewczyna, czy chłopak, bili wszystkich jednakowo – więc ona wyciągnęła Biblię, zaczęła czytać, i przeszła między nimi niezauważona. Innym razem gonili ją, więc znów wyciąga Biblię, czyta, a oni odpuszczają. Dla mnie to był szok, że Biblia tak „działa”. Jak się później okazało, ta dziewczyna była baptystką i przeżyła wiele podobnych historii. Mieliśmy się potem spotkać na jakimś kongresie w Szczecinie, gotów byłem gnać z tych Kielc pod północno-zachodnią granicę. Zapisałem sobie adres na bilecie z koncertu na dziesięciolecie Dżemu, wówczas dla mnie najwspanialszego zespołu świata. Zabazgranie takiej pamiątki było niemal świętokradztwem – tak wielkie wrażenie zrobiło na mnie to spotkanie. Koledzy z internatu opowiadali, że przez następny tydzień rzucałem się w nocy na łóżku. To był pierwszy raz, kiedy spotkałem żywego Boga, który działa, konkretnie, w życiu człowieka. I pierwszy raz, kiedy usłyszałem, że wiara w Niego realnie chroni.

## ROZCZAROWANIE KLEREM

W tym czasie mniej więcej zacząłem czytać Biblię i od razu pojawiły się pytania – setki pytań. Nie wahałem się ich „użyć”, więc po niedługim czasie okoliczni księża uciekali na mój widok. Na pielgrzymce, gdzie po każdej konferencji można było zadawać pytania, ja miałem ich mnóstwo. Ale kiedy podchodziłem do mikrofonu, nie zdążyłem jeszcze ust otworzyć, a już słyszałem takie „łaaa”. I co tu kryć, znowu czułem się odrzucony, znów niepasujący. Nikt nie był w stanie zmierzyć się z moimi poszukiwaniami, nawet „fachowcy”, ci, którzy „z urzędu” powinni się na tym znać. Pamiętam też taki epizod: mnie i kolegę z klasy, który też się nawrócił, tylko w kluczu neokatechumenalnym, frapował szczególnie pewien fragment Biblii: „Zaprawdę, powiadam wam: Niektórzy z tych, co tu stoją, nie zazną śmierci, aż ujrzą Syna Człowieczego, przychodzącego w królestwie swoim” (Mt 16, 28). Poszliśmy więc do księdza katechety z technikum budowlanego, z pytaniem, co znaczą te słowa. A on nas zbył krótkim stwierdzeniem: „A skąd ja to mogę wiedzieć, nie mam pojęcia”. Powiedział to tak, jakby mówił: nie wiem, bo nie chcę wiedzieć, nie obchodzi mnie to. Gdyby po prostu nie wiedział, to pół biedy, ale on tym w ogóle nie był zainteresowany. Pamiętam, jak nim wzgardziliśmy. Chciał nam potem piątki stawiać, bo widział, że codziennie na

szóstą rano do kościoła biegamy, ale my nie chcieliśmy od niego żadnych piątek. To nie było moje pierwsze rozczarowanie klerem, ale pierwsze tak osobiste. Tak czy inaczej, to dzięki tym pytaniom, na które mało komu chciało się odpowiadać, spotkałem dominikanów. To byli pierwsi duchowni, którzy podnieśli rękawicę. Pierwszy raz zetknąłem się z nimi na rekolekcjach w kieleckiej katedrze i z miejsca zadałem jakieś pytanie. Zamyślili się, a jeden z nich powiedział: „Naprawdę stawiasz sobie takie pytania? Super!”. Po czym przyznał, że nie zna odpowiedzi, ale poczyta, zastanowi się i jeszcze pogadamy. A mnie się zdało, że jestem w Niebie, że zstąpił Bóg – nareszcie pojawił się ktoś w ogóle zainteresowany poszukiwaniem prawdy. To było niesamowite: wie czy nie wie, nieważne, ważne, że szuka. I tak Zakon Braci Kaznodziejów stał się mi bliiski, choć siłą przyzwyczajenia od razu ich skontestowałem – że to pewnie jakaś sekta.

## **WOLNOŚĆ W ZAKONIE**

Mam takie wspomnienia, że jako dziecko dość często mówiłem do moich kolegów: „To jest mój tata, to jest mój tata”. Tak jak się chwali chłopiec na przykład tym, że jego ojciec jest silny. Mój był bardzo silny, jak na rzeźnika przystało. Pamiętam, jak ka-

zał nam wszystkim stanąć na krześle: mamie i nam trzem, objął nas ramionami za nogi i podniósł do góry całą czwórkę. To było mocne doświadczenie, byłem dumny: „To jest mój tata”. Ale jeszcze mocniej przeżyłem to, kiedy ojciec powiedział przy swoich kolegach: „To jest Tomek, mój syn” – niezwykle przeżycie. Może dlatego jestem zawsze poruszony, kiedy słyszę te słowa w Ewangelii: „To jest Mój Syn umiłowany”. W nich jest dopiero moc! Jestem dzieckiem Boga – z tą świadomością można śmiało iść w świat. Często mówię na rekolekcjach o ojcostwie i podkreślam, że dobry ojciec jest dumny, kiedy jego syn osiągnie więcej od niego.

Jakiś czas temu na modlitwie uświadomiłem sobie, że przez te wszystkie lata udało mi się w wielu dziedzinach osiągnąć więcej niż mojemu ojcu. Być może brzmi to nieznośnie nonszalancko, niezła buta, ale to prawda. Ja robię doktorat, a mój ojciec skończył siedem klas podstawówki. Nie jestem super zdolny, ale po kolei przechodziłem wszystkie etapy edukacji: po podstawówce zawodówka, po zawodówce technikum trzyletnie, po technikum dopiero studia, potem jeszcze drugie, trzecie studia. Cały czas się uczę i chcę być coraz lepszy. Dlaczego? – pytam z całą świadomością, że nie da się porównać czasów, w których żyliśmy. Wydaje się, że ta ambicja „przerośnięcia” ojca wynika u mnie nie tylko z tego, co wrodzone,

ale wyhodowała się także na deficytach: na jego „nieobecności”, na poczuciu, że moja mama była sama w wielu wymiarach. Mam poczucie, że muszę się bardziej postarać, żeby ludzi, którym będę towarzyszył, nie musieli doświadczać tego opuszczenia czy samotności. Wcześniej nie zdawałem sobie sprawy, że ta potrzeba jest we mnie tak silna – na tym polega droga poznania. W tym dążeniu jest też silna potrzeba niezależności: mój ojciec musiał robić to, co mu kazali – ja wybieram to, co chcę robić. I paradoks polega na tym, że to właśnie w zakonie mam taki komfort, nigdzie indziej nie byłbym tak wolny. Po wielu poszukiwaniach spotkałem nareszcie ludzi, o których mogę powiedzieć, bardziej niż o kimkolwiek innym, że robią to, co chcą. Wolność, której tu doświadczam, jest niewiarygodna. Ja się chyba do niej już trochę przyzwyczaiłem, ale wielu moich znajomych, duchownych i świeckich, mówi: „Wy jesteście z innego świata, u nas taka wolność nie jest możliwa”. Mam takie wspomnienie, kiedy pierwszy raz spotkałem dominikanów w Kielcach: ja niby wyzwolony, kontestujący, skóra, długie włosy, a obok rozmawiają dwaj zakonnicy z diakonem diecezjalnym i młodym księdzem. Ich sposób myślenia był kompletnie różny, słuchając ich, zrozumiałem, że choć jedni i drudzy służą Bogu, to w kontekście wolności dzieli ich przepaść i nie ma między tymi światami żadnego pomostu. Od strony dominikanów powiało taką wol-

nością, jakiej nigdy wcześniej nigdzie nie spotkałem. To było bardzo pociągające.

## **NIENASYCENIE, CZYLI ORZEŁ W KURNIKU**

Muszę uczciwie wyznać, że to „nienasycenie”, chęć wydostania się z „ciasnoty” i pragnienie wolności wpłynęły na moją decyzję wstąpienia do dominikanów. Prócz tego, że zostałem powołany, że Duch mnie pociągnął, była też pewnie nieuświadomiona motywacja ucieczki ze światów, w których się nie mieszczę i w których się męczę. W zakonie żyłem w większych miastach: w Warszawie, w Krakowie, a teraz w Łodzi. Tylko czy tu chodzi o miasto? Trochę pewnie chodzi, bo kiedy wracam na dłużej do mniejszych miejscowości, to nie widzę fali, na której mógłbym tę swoją „deskę” położyć i swobodnie posurfować. Pojęcia nie mam, skąd mi się to bierze, dlaczego tak to odczuwam i od czego to zależy. Obaj moi bracia są ludźmi większego formatu: wysocy, przystojni, mają większy potencjał, bogatszą wyobraźnię, są intelektualnie zdolniejsi niż ja, a im życie w Ostrowcu wystarcza. Starszy brat odnalazł się w tym miejscu, poza krótkim pobylem w wojsku, a potem na studiach, mieszka tam przez cały czas. Ma żonę, córkę, własny dom i jest szczęśliwy. Młodszy brat bywał w świecie, mieszkał

nawet przez dziesięć lat w Atenach. Myślałem, że wyfrunął z gniazda na dobre, ale powrócił. Przez jakiś czas mnie to dziwiło, czułem nawet sprzeciw, bo widziałem, jak świetnie sobie radził w wielkim świecie. Nieświadomie mierzyłem go swoją miarą, bo na jego miejscu czułybym się jak orzeł w kurniku. Szanuję moje rodzinne miasto, ale sam odnalazłem się w innym miejscu, a w zasadzie w drodze – wszak jestem wędrownym kaznodzieją. Obu braci kocham, bardzo, i ta miłość nie orła we mnie budziła, a kwokę. Chciałem układać ich szczęście według własnego scenariusza. Dziś wiem (może to banał), że nie można na nikogo patrzeć przez pryzmat własnych nienasyceń. Każdy wybiera swoją drogę. Ja też idę własną.

## **"PIĘTNO GŁĄBA" I BĘBNY**

Więc najpierw była podstawówka i w ósmej klasie rozmowa z panią od polskiego: „Ty Nowak, gdzie chcesz iść?”. „Do technikum”. „Ty głąbie, ty wyżej niż o zawodówce w ogóle nie myśl”. Wziąłem to sobie do serca, więc zawodówka i myśl, żeby zostać mechanikiem samochodowym – bo kim innym? W Ostrowcu była tylko samochodówka i technikum hutnicze. Mój starszy brat poszedł na hutnika i kiedy opowiadał o tych prasach, młotach i piecach, to mnie w ogóle nie kręciło. Co ja

miałbym w tej hucie robić? Bum bum bum, *underground*. Przy samochodach zawsze coś się dzieje, no i trochę się pojeździ. Ale ojciec mówił: „To brudna robota, w smarach, w kanale, na zimnie. Popatrz, dziadek był stolarzem i chrzestny jest stolarzem, robota czysta, sucha”. No to wybrałem stolarkę. Ciesła dobry zawód, Jezusowy, ale też nie do końca go czułem i ten sam zarzut mi stawiano: że za wolny jestem, za dokładny, za dużo myślę. Owszem, dobrze robię, ale nieśpiesznie. Tłumaczyłem sobie, że to przez otyłość, bo otyły byłem zawsze. To się tak wszystko niby kleiło ze sobą, ale naprawdę rozłaziło w szwach i właśnie przez muzykę, przez to moje granie, ostatecznie się rozeszło. A było to tak: któregoś razu, zazdroszcząc starszemu bratu, poszedłem na pielgrzymkę. Miałem wtedy piętnaście lat. Starsi koledzy grali na gitarach i mnie się to bardzo spodobało. Na dodatek powiedzieli, że jest to dość łatwe i że mnie nauczą, jeżeli potem będę grał na pielgrzymkach. Bardzo szybko nauczyłem się podstawowych chwytów i tak mnie to kręciło, że grałem bez opamiętania, mimo że palce krwawiły. I widziałem, że „bicie” łapię w lot, niemal bezmyślnie prawą ręką to wszystko ogarniam, a z lewą na gryfie gorzej, czyli że łatwiej mi z rytmem niż z melodią. W związku z tym przerzuciłem się na bębny, które mnie porwały bez reszty. I to granie całkowicie mnie już wyorbitowało poza mój dotychczasowy świat.

## NAJWIĘKSZY ANARCHISTA

Trzecia klasa zawodówki miała mniej więcej ten sam poziom, co ósma klasa podstawówki, więc bez żadnych trudności zaliczałem wszystkie przedmioty, a tym samym zyskiwałem poczucie, że skoro tak dobrze mi idzie, to może jednak – mimo bycia „głębem” – zdawać do technikum. Rodzice powiedzieli: „Jeżeli pojedziesz i sobie załatwisz, to możesz iść, bo my nie wiemy, jak to zrobić”. I znów byłem sam i sam to wszystko musiałem urządzić. Udało się i te trzy lata technikum w Kielcach to był złoty czas – mieszkanie w internacie, wolne życie, kreatywność, nawrócenie, spotkanie dominikanów. Nareszcie odnalazłem swoją miarę. I była też transformacja z punka w hippisa – inna muzyka, inne światy, a w tym wszystkim religijne odrodzenie. I mnie się to wszystko w ogóle nie kłóciło, uprawiałem twórczy eklektyzm: Kościół, punk i hippisi – brałem z tego to, co było mi potrzebne. Byłem ministrantem i miałem irokeza, a potem miałem długie włosy. Pamiętam taki epizod: pojechałem na wieś pilnować domu mojego chrzestnego. Byłem pobożny, więc poszedłem w niedzielę na mszę świętą, włosy związane w kucyk, koszulka na ramiączkach, podarte džinsy i adidas na bosych stopach. Nie wiedziałem, gdzie mam stanąć, więc nie pchałem się głębiej, tylko zostałem pod chórem, a we właściwym momencie poszedłem do komunii.

Później usłyszałem od kolegów, że wieczorem w knajpie jakiś chłop przeżywał: „Widzicie, ten świat się kończy, to w ogóle katastrofa jest: idę dzisiaj do kościoła, a tam pod chórem stoi dziewczucha jakaś roznegliżowana, a potem ona idzie do komunii, a wraca chłop. No świat się kończy!”. Jemu to się w głowie nie mieściło. Moja mama bała się potem na wieś jechać, bo ciotki wpadły w histerię: jak ja mogłem do kościoła przyjść tak ubrany? Tymczasem ja w ogóle nie zauważałem, że się odróżniam, taki byłem jakiś „odklejony” w tej kwestii. Liczyła się dla mnie duchowość i Bóg. Formę zewnętrzną czerpałem z subkultur, a głębię wewnętrzną z Kościoła, z poszukiwania Boga i człowieka. Zręcznie to sobie tłumaczyłem. Punkową anarchię widziałem w Ewangelii – Jezus był dla mnie pierwszym i najprawdziwszym anarchistą, On to dopiero walczył z systemem, rozpierniczał go w całej rozciągłości, jak nikt inny. Idol po prostu! Widziałem to w każdym miejscu Ewangelii.

Moje subkulturowe epizody trwały mniej więcej po dwa lata i za każdym razem kończyły się w ten sam sposób: patrząc na moich kolegów, nagle orientowałem się, że ich życie nie przystaje do ideałów, które głoszą: niby anarchia w samym środku głowy, mózg pracuje niezależnie, a tak naprawdę wszystko kończy się na chlaniu, ćpaniu i wachaniu kleju. No to pytam, jak ten ich mózg pracuje? Gdzie ta niezależność? Ty jesteś

wolny, ty jesteś anarchistą? Niewolnikiem jesteś, i tyle. I to bielmo z oczu schodziło mi tak po dwóch latach i widziałem, że ci ludzie są po prostu nieszczęśliwi, bo kiedy krzyczą „No future”, to nie jest ich wybór – to świat im krzyknął „no future”. To nie oni wykluczają się ze świata, tylko świat ich wyklucza; zwodzeni pozorami niezależności, popadają w iluzję i uzależnienie. Nie czepiam się ludzi, którzy są świadomi tego, że „się sprzedają”, ich wybór, ale jeżeli ktoś taki twierdzi, że jest niezależny, to jest kłamcą, a kłamstwa nie znoszę. Kategorią fundamentalną, którą zawsze się kierowałem, jest prawda, a w tym mieści się uczciwość wobec samego siebie i innych.

## **PIES RASOWY**

Pierwszą lekcję poczucia własnej wartości dostałem od psa. U nas w domu psy były zawsze, ale zawsze tylko kundle – najczęściej dwa lub trzy jednocześnie. Pewnego razu ojciec przyprowadził dobermana z rodowodem. Od razu było jasne, że to stworzenie rasowe, on po prostu znał swoją wartość. W ogóle nie przejmował się innymi psami, co więcej, on się ludźmi też niespecjalnie przejmował – miał jednego pana, którego szanował, a innych zauważał tylko wtedy, kiedy mu jedzenie do miski wrzucali. I ja się tego chciałem nauczyć – ja, chłopak z Ostrowca, dziecko chłopo-robotnika, chciałem zrozumieć,

jak to jest być hrabią, a nawet królem. Michał Ziolo napakował mi to do głowy swoimi konferencjami: „Nie wypadłeś sroce spod ogona – jesteś dzieckiem Króla!”. Najwyraźniej jestem też dzieckiem szczęścia, bo spotkałem Joachima Badeniego, syna księżniczki szwedzkiej, hrabiego z najwyższej półki. Podpatrywałem go według tego klucza, i, *pardon* za porównanie, dostrzegałem w nim coś podobnego do tego, co widziałem u tego psa – rasę. Badeni jednakowo traktował człowieka najbiedniejszego, „najmniejszego”, i tego ustawionego najwyżej w hierarchii społecznej. To samo zresztą widziałem, spotykając jego przyrodnią siostrę, hiszpańską księżniczkę – z jednakowym szacunkiem odnosiła się do hrabiego i do sprzątaczkę w żywieckim muzeum – nikomu w niczym nie ujmując. Naturalny szacunek do każdego człowieka, swoboda w rozmowie, zupełny brak dystansu, żadnego poczucia wyższości czy niższości, ani krzty lęku, obawy o siebie i o swoje miejsce. Tak w moim przekonaniu wygląda naturalne, zdrowe poczucie własnej wartości. Nawiasem mówiąc, tak zachowują się dzieci – nie mają „względu na osobę”. Słyszałem bardzo piękną anegdotę od Norberta Lisa. On ma siostrę i dużo młodszego brata. Kiedy byli nastolatkami, hołubili Michaela Jacksona, a ten mały braciszek, wiadomo, najczęściej im przeszkadzał. I kiedyś chcieli zrobić na nim wrażenie i zaczęli go: „A ty znasz Michaela Jacksona?”. Na co ten pięciolatek odparował: „A on

mnie zna?”. Absolutnie niczym nieskażone poczucie własnej wartości. I jakie piękne odwrócenie perspektywy!

## **TYLKO KRÓL NIE CZUJE SIĘ PONIŻONY, KIEDY UMYWA NOGI**

Wyniosłem z domu dwa przekonania, które z czasem okazały się bardzo zdradliwe. Pierwsze: „Co, ja nie dam rady?!” i drugie: „To jest mój psi obowiązek!”. Postawy, które się z nich zrodziły, skutecznie doprowadziły mnie do wypalenia zawodowego. Nazwałbym to dziś „pomagactwem” – to złożenie dobrego pragnienia pomagania ludziom, któremu towarzyszy niemal całkowite pomijanie siebie i swoich potrzeb. To jest „kochaj bliźniego” bez „jak siebie samego”. Kiedyś miałem takie doświadczenie: służyłem konferencji, którą prowadził niejaki Artur, były narkoman. Podszedł do pulpitu i tak zaczął: „Jak mnie jest was szkoda, siedzicie tu wszyscy, pobożni tacy, porządni – jesteście podobni do króla Dawida, on był taki właśnie pobożny, taki ministrant, albo szef scholi: kiedy zagrał, to wszyscy tańczyli, a kiedy zgrzeszył, to nawet się nie zorientował. I wy też – grzeszycie i nie wiecie nawet czym”. Poczuję się dotknięty: „Co mi tu będzie jakiś były narkoman grzeszność nieświadomą imputował”. A on niezrażony ciągnie dalej: „Bo czym jest grzech? Tym, co przeszkadza Bogu

mieszkać w tobie i ciebie prowadzić. To nie to, z czego się spowiadasz lub co jest twoją wadą. Tylko skąd ty masz wiedzieć, co Bogu przeszkadza? Ty wiesz, co tobie przeszkadza, i tyle. Dlatego musisz Go o to pytać i kiedy ci odpowie, będziesz wiedział. Na szczęście On chętnie odpowiada”. Dało mi to do myślenia i zacząłem w ten sposób się modlić. A mam to szczęście, że kiedy się modłę, to zaraz jestem wysłuchiwany, zwłaszcza w swojej sprawie. Nie musiałem więc długo czekać, następnego dnia podchodzi do mnie nieznajoma dziewczyna i mówi, że Pan Bóg chce mi coś powiedzieć. Spojrzałem na nią z pobłażaniem, ale ciekawość wzięła górę, więc pytam: „Co takiego?”. A ona na to: „Ojciec nie wierzy w swoje dary, tym samym ich nie rozwija, a co za tym idzie, nie służy ludziom tak, jak by mógł służyć”. Zrozumiałem, że to jest mój największy grzech. Nie miałem żadnych wątpliwości, że to przekaz z góry. I wtedy zobaczyłem siebie stojącego jakby przed bramą Królestwa – domem Ojca, jak w przepowiedni o marnotrawnym synu, i zrozumiałem, że choć nie jestem podobny do żadnego z braci, to jestem marnotrawny. Nie jestem pyszałkiem, jak ten starszy syn, nie obrażam się, że grzesznicy wchodzą przede mną. Wręcz odwrotnie, ja im pomagam wejść. Mówię: „Czego chcesz ode mnie Panie? Wszystko dla Ciebie zrobię: rekolekcje – proszę bardzo, spowiedź – proszę bardzo, mszę świętą odprawić – proszę

bardzo... wszystko". A Bóg mówi: „Ty chodź”. A ja wejść nie chciałem i zobaczyłem, że się boję i zapewniam Go, że jeszcze więcej ludzi Mu przyprowadzę. A On na to: „Nie, chcę, żebyś ty wszedł”. Niesamowicie mnie to zaskoczyło, zmroziło nawet, a jednocześnie ciągle nie byłem w stanie przejść przez tę bramę. Tyle lat już jestem zakonnikiem, tyle lat księdzem, a nie mogłem się przemóc, by wejść. Poczułem bezradność i żal, że to przekreśla wszystko, co do tej pory robiłem. A Bóg był delikatny, ale przejrzysty. Usłyszałem, że jestem najemnikiem – bardzo dobrym najemnikiem, robię ponad miarę, nawet to, o co mnie nikt nie prosi. I wtedy zadałem sobie pytanie: „Dlaczego ja właściwie nie chcę wejść?”. Zrozumiałem, że to jest taki wygodny schemat myślenia: dopóki jestem najemnikiem, to zawsze mogę powiedzieć: „Ja tu tylko sprzątam, jeśli ktoś ma pretensje, to proszę się zgłaszać do Niego”, a jeśli będę synem, to każdy ma prawo zgłaszać pretensje do mnie. Robię nie u kogoś, ale u siebie. I to było dla mnie nie do uniesienia, absolutnie dramatyczne. Kiedy tak pomyślałem, znów usłyszałem: „Wejdz, chcę ci założyć pierścień na rękę, sandały na nogi, płaszcz, koronę, ale chodź”. Nie byłem w stanie wejść i znów usłyszałem: „Jeżeli cię nie wywyższę, nie będziesz umiał służyć, bo tylko król nie czuje się poniżony, kiedy umywa nogi”. To było na pierwszej „Fali Wielbienia” w Henrykowie. Uciekłem stamtąd, bo mnie to przerosło, i poszedłem

do kawiarenki. Kupiłem kawę, siadam i wtedy podchodzi do mnie saksofonista Piotr Baron, zdejmuje sygnety, który dobrze pamiętam z rekolekcji jazzowych, które zorganizowałem na warszawskim Służewie – Baron grał, a głosił Andrzej Hołowy – i mówi: „Bracie, to dla ciebie”. Nagle przychodzi gość, który w ogóle nie wie, czego doświadczyłem przed trzema minutami, i daje mi pierścień. A ja go zakładam – taki duży, wyzywający, harleyowsko-prawosławny sygnety (później w Supraślu mnich prawosławny powiedział mi, że to potężna obręcz egzorcyzmująca) – pierwsza moja myśl jest taka: „Jak on fatalnie komponuje się z habitem” i natychmiast słyszę: „Czy nie wybrzydzasz tak samo, jak pod bramą Królestwa?”. I zrobiło mi się głupio przed Piotrem – bo może przed Bogiem jeszcze bym się wywinął – i mówię: „Będę go nosił przynajmniej do końca rekolekcji”. Nosilem dłużej, a potem podarowałem go mojemu bratu, który tego potrzebował, a ponieważ bez niego czułem się nagi, poszedłem do Tomka Gaja, wiedząc, że miewa takie rzeczy, i rzeczywiście wyciągnął z szuflady ten, który teraz noszę. Jest na nim wygrawerowane to samo, co na tamtym od Piotra Barona: *Spasi i sochrani Hospodi* (Zbaw i chroń Boże). Nieco później uświadomiłem sobie, że w naszej dominikańskiej tradycji istnieje coś podobnego – były takie sceny mistyczne, w których Jezus daje pierścień jako znak Ducha Świętego oraz symbol zaślubin

i obdarzenia Duchem Świętym. To był przełom, zrozumiałem, jaka jest różnica między byciem najemnikiem a byciem synem. „Tylko król nie czuje się poniżony, kiedy umywa nogi” – niesamowite słowa.

W wersji *light* pisał o tym Gombrowicz: „Ale czyż nie powiedział książe Ypsilanti, że ci, co wiedzą, iż ryby nie należy jeść nożem, mogą rybę jeść nożem?”<sup>2</sup>.

## **DROGA NIE JEST ZAMKNIĘTA**

W trakcie modlitwy zdarza mi się rozmyślać o moich dwóch ojcach: Stanisławie Nowaku – moim tacie, oraz o świętym Dominiku – moim drugim ojcu. O ile, jak już pisałem, Stanisława Nowaka zdarzyło mi się wyprzedzić w wielu dziedzinach, o tyle mam poczucie, że do świętego ojca Dominika nie dorastam w żadnej. To oznacza, że cały czas jest we mnie potencjał, który mogę eksploatować. W ten sposób motywują mnie również bracia w zakonie – jest wielu dominikanów, którzy inspirują mnie do dalszego rozwoju. Permanentnie funkcjonuję w takich widelkach: coś już zrobiłem, pokonałem jakiś próg, jestem gdzieś dalej, a jednocześnie widzę, że droga się nie kończy, i to mi daje wolność, nie jest mi ciasno. Coraz bar-

dziej świadomy swojego potencjału (tego, kim jestem), widzę, jak wiele mam możliwości rozwoju, jak wiele rzeczy da się jeszcze zrobić. To poczucie, że droga jest ciągle otwarta, zapewnia, podsyca i wzmacnia wiara, relacja z Bogiem. Bóg jest nieskończony, nieogarniony, wszechmocny, z nieograniczonym potencjałem, i zupełnie niedościgniony – ale to mnie nie rozczarowuje, tylko zachęca, motywuje i wzmacnia w tej drodze do Niego. Mówiłem o tym niedawno księżom w Siedlcach: „To jest absolutnie konieczne, byś uwierzył, że kiedy stajesz na ambonie, to jest twoje miejsce, ty masz tu stać. Tego chce Bóg i twoi słuchacze. I ty masz tego chcieć. Bez względu na to, co o sobie myślisz, to jest twoje miejsce, do tego zostałeś powołany, taki masz charyzmat, taki masz dar, który cię tutaj postawił. Jedyne ty sam możesz się z tej ambony spychać – to jest twój główny wróg, ten facet w lustrze”. Różnica pomiędzy najemnikiem a synem jest taka, jak między *praedicantes* (głoszącymi) a *praedicatores* (kaznodziejami). Ja nie tylko głoszę, ale jestem kaznodzieją – nie tylko coś wykonuję, ale jestem kimś.

*Post scriptum:* A ten „głęb” towarzyszył mi jeszcze przez wiele lat, uporałem się z nim całkiem niedawno, choć uczciwie muszę przyznać, że echa tego „bycia głębem” ciągle jeszcze we mnie tkwią. Jechałem do tych Siedlec na wykłady dla księży i nadziwić się nie mogłem: „Ja prowadzę wykłady, dla księży,

profesor habilitowany mnie zaprasza, żebym ja mu wykład wygłaszał, jemu to pasuje – niesamowite!”

**PRZYPISY:**

1. Mistrz Eckhart, *Dzieła wszystkie*, t. 5, Kraków 2014, s. 46.
2. W. Gombrowicz, *Dziennik 1959-1969*, Kraków 2007, s. 158.